

Szanujmy polskiego rolnika

Strategiczna rola rolnictwa dla gospodarki nie opiera się na wskaźnikach ekonomicznych – bo rolnictwo w Polsce to nieco ponad 2 proc. PKB – lecz na poprawie pozycji w geopolitycznych układankach

Z Markiem

Gugałą

rozmawia
Nikodem Chinowski

Jaki jest dziś polski rolnik? Wizerunek chłopa w gumofilcach, w kufajce i z widłami to już przeszłość. Takiego rolnika już w Polsce nie ma, a jeśli się gdzieś trafi, to jest to już absolutny margines. Struktura mieszkańców wsi od dłuższego czasu się zmienia, przechodzi podobne procesy jak wcześniej w miastach. Następuje industrializacja obszarów wiejskich, wzrost roli usług, bogacenie się, a w gospodarstwach coraz częściej zamieszkują osoby uciekające z miast – albo kupujące taką nieruchomości, albo przejmujące ją po rodzicach. Nawet najmniejsze, kilkuhektarowe rodzinne gospodarstwa nastawione na produkcję na własny użytek często korzystają z w miarę nowoczesnego sprzętu i takiej technologii produkcji. Poziom wykształcenia rolników też się znacząco podniósł – dziś większość ma wykształcenie co najmniej średnie, a nierzadko wyższe w kierunku rolniczym. Nie mamy czego sobie ujmować: polski rolnik nie odbiega dziś swoją wiedzą, parkiem maszynowym, technologią produkcji od swoich kolegów po fachu z Europy Zachodniej.

Możemy więc powiedzieć, że polskie rolnictwo jest już nowoczesne? Szacuję, że ok. 300–400 tys. polskich gospodarstw, czyli ponad połowa, jest dziś wyposażone lepiej niż w całej UE. Natomiast dużym problemem naszego rolnictwa jest struktura agrarna. Według danych GUS średnia powierzchnia gospodarstwa wynosi ok. 11 ha. To bardzo niewiele na tle innych krajów. W tak małych gospodarstwach, a szczególnie sprofilowanych na produkcję roślinną, nie da się przejść na rolnictwo 4.0, czyli wysoko uprzemysłowione, zmechanizowane i zrobotyzowane. Koszty jednostkowe byłyby o wiele wyższe niż zysk z produkcji na tak niską skalę.

Te małe gospodarstwa są balastem dla całego sektora? Wolałbym na nie patrzeć jak na szansę, którą możemy próbować wykorzystać. Oczywiście, jeśli mówimy o produkcji mięsnej czy mlecznej, to do optymalizacji kosztowej potrzebny jest duży areal zasiewów. Przyjęło się, że w średniej wielkości gospodarstwach mających 50–100 krów potrzebne jest 50 ha na produkcję pasz. Małe, 5-hektarowe gospodarstwa o mieszanym profilu – trochę zbóż, trochę ziemniaków, kilka krów i kury – nie mają szans przetrwać zderzenia z rynkiem. Ja mam 15 ha, którymi zajmuję się hob-

bystycznie i cieszę się, gdy wychodzę na zero. Natomiast jeśli gospodarstwo chce się wyspecjalizować w ekologicznej produkcji roślinnej, to mały obszar jest przewagą. Przy uprawie i zbiorze niektórych warzyw, np. kalafiora czy brokołu, i tak nie da się w pełni zmechanizować produkcji, więc te małe gospodarstwa warzywnicze mogą szukać swojej niszy na rynku europejskim. To duża szansa dla Polski. Zupełnie inaczej niż w Ukrainie – tam prawie zupełnie nie ma małych czy średnich gospodarstw, a jedynie ogromne, wielkopowierzchniowe przedsiębiorstwa rolne. Znajomy niedawno odwiedzał jeden z takich konglomeratów – gospodarstwo ciągnęło się na kilkaset kilometrów, a kombajny, ze względu na różne strefy klimatyczne, pracują tam od czerwca do grudnia.

Na dzisiejszej strukturze agrarnej nadal „widać zabory” – średnia wielkość gospodarstwa w Polsce północno-zachodniej oraz na Warmii i Mazurach przekracza 20 ha, a na południowym wschodzie plasuje się poniżej 6 ha.

To oczywiście efekt uwarunkowań historycznych. Żeby je poznać, musielibyśmy cofnąć się do II połowy XIX w., kiedy na mocy uwłaszczenia carskiego każdy chłop w Królestwie Polskim dostał jedną morgę (trochę ponad 0,5 ha) ziemi do uprawy. Po II wojnie światowej na Ziemiach Odzyskanych tworzone konglomeraty rolnicze, czyli państwowe gospodarstwa rolne. Po zmianach ustrojowych PGR-y szybko upadły, zostały przejęte przez nowych właścicieli, którzy sprawnie przywrócili je do życia, dodatkowo skupując ziemię od sąsiednich rolników indywidualnych. Tymczasem w Polsce Wschodniej uwarunkowania historyczno-społeczne są diametralnie różne i tu niechęć do sprzedawania ziemi jest nadal bardzo duża. W ogóle mieszkańcy Polski Wschodniej, a już szczególnie na wsi, są trochę inni. Na zachodzie kraju kościoły świecą pustkami, na wschodzie to nadal istotny element wspólnotowy, epicentrum lokalnego życia, co oczywiście determinuje światopogląd czy przekonania polityczne. Ale nie trzeba aż tak daleko jechać – sam pochodzę spod Kozienic niedaleko Radomia, a teraz mieszkam w Siedlcach. Niby tylko 120 km i to w obrębie jednego województwa, a widzę różnice mentalne

między społecznościami obu rejonów. We wschodniej części województwa mazowieckiego, w części małopolskiego, podkarpackiego czy na Lubelszczyźnie historycznie nie inwestowano zbyt dużo w przemysł i w miejsca pracy. Ziemia była jedynym źródłem utrzymania rodzin, ratowała od głodu. Stąd takie przywiązanie do ojcowizny.

Dlaczego osoby takie jak pan, mające dochód z innego źródła, nadal trzymają gospodarstwo? Z dziada pradziada mam wpojona zasadę, że polskość i patriotyzm opierają się na gospodarowaniu ziemią. Już Wincenty Witos mówił, że „chłop zachował w najgorszych chwilach ziemię, religię i narodowość. Te trzy wartości dały podstawę do stworzenia Państwa”. A więc przede wszystkim pewne przywiązanie kulturowe. Po drugie, jestem profesorem nauk rolniczych, więc obrabiając rolę, mogę w praktyce doskonalić swój warsztat naukowy. Trzeci powód to kwestie tradycji rodzinnych – moje obecne gospodarstwo prowadzili rodzice. Wiem, ile znoju, trudu i wyrzeczeń ich kosztowało, by przekazać mi je w dobrym stanie. Choć mama ciągle mi powtarza, żebym to zostawił, nie chcę jej sprawiać przykrości i sprzedawać rodzinnej ziemi. No i gdy już przejdę na emeryturę, to będę miał się gdzie realizować jako rolnik praktyk.

Ziemia to też atrakcyjna lokata kapitału? Ceny oczywiście mocno rosną, niezależnie od tego, czy mówimy o działkach w mieście, pod miastem, czy na atrakcyjnie położonej wsi. Własność ziemi jest kapitałem, który dodatkowo można wydzierżawić i jeszcze mieć stały dochód pasywny.

A jednak od wielu lat liczba gospodarstw spada – dziś jest ich ok. 1,3 mln, o prawie 200 tys. mniej niż dekadę temu.

Jeszcze 30 lat temu w rejestrach mieliśmy 2,5 mln gospodarstw, ale te statystyki nie odzwierciedlały stanu faktycznego. Za Polski Ludowej był na wsi zwyczaj, że rodzice odpisywali kawałki swojego gospodarstwa na syna, by uchronić go przed służbą wojskową. Parcele ze sobą sąsiadowały, gospodarzył nimi ojciec, ale formalnie właścicielem był syn. Dziś te sąsiednie działki się łączą, sytuacja się normuje i stąd tak wyraźny spadek liczby gospodarstw.

Statystyki nie są miarodajne, bo pewne procesy zachodzące na polskiej wsi są nieuchwytnie. Przede wszystkim trzeba rozdzielić różne kategorie rolników w Polsce. Jest pokaźna grupa właścicieli gruntów, którzy pobierają na nie dotacje i płacą za nie podatki, ale ziemię dzierżawią sąsiadom. Doskonale znam ten mechanizm z mojej wsi pod Kozienicami, ale to zjawisko występujące w całej Polsce. Czasami jeden rolnik gospodarzy na kilku, a nawet kilkunastu sąsiednich, małych, wydzierżawionych parcelach, bo umie sobie policzyć, że efekt skali znacząco zwiększa opłacalność jego produkcji. W rejestrze mamy więc kilka gospodarstw i kilku rolników, a w rzeczywistości gospodarzy jedna osoba. Jest także duża grupa gospodarstw – uprawianych hobbystycznie przez właścicieli mających inne stałe źródło dochodów. Do tej grupy rolników należą ja, mimo że z pracy na roli nie byłbym w stanie utrzymać rodziny, a moim podstawowym źródłem dochodu jest praca naukowa. Szacuje się, że faktyczna liczba farmerów w Polsce – żyjąca z uprawy roli czy hodowli – oscyluje wokół 600 tys.

Rolnicy chętnie sprzedają ziemię deweloperom? To zjawisko występuje przede wszystkim wokół średnich i małych miast. Najczęściej to budownictwo jednorodzinne oraz tzw. szeregowce, czasem wręcz całe osiedla, które wyrastają między grządkami ogórków i kapusty. Dla rolników to novum, które sprowadza na nich pewne uciążliwości. Osoby, które napływają z miast, mają złudne oczekiwania, że na wsi będzie cisza, spokój, las i hasające sarenki. A okazuje się, że pracują głośne maszyny rolnicze, po szosie jeżdżą ciągniki, rozrzucany jest nawóz organiczny... Dochodzi do konfliktów sąsiedzkich. Każdy, kto decyduje się zamieszkać na wsi, musi się dostosować do panujących tam warunków. Nie odwrotnie.

Niechciane sąsiedztwo dotyczy też uciążliwych ferm hodowlanych? Jeszcze 30 lat temu zabudowa wiejska była bardziej rozproszona, odległości między gospodarstwami znacznie większe. Dziś fermy zwierząt mają już charakter przemysłowy, czasami przebywa w nich po kilka czy kilkanaście tysięcy świń, norek lub drobiu, które żywią się mięsem, a wtedy nie mówimy już o przykrym zapachu, tylko wręcz o fetorze. To istotny problem dla wszystkich okolicznych mieszkańców, również innych rolników. Takie fermy powinny być sytuowane w odpowiedniej odległości od najbliższych zabudowań ludzkich.

Rozwiązaniem problemu nadmiernej sprzedaży ziemi przez rolników deweloperom nie jest ustawowy nakaz zgłoszenia chęci sprzedaży do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa? Przy małych arealach – jedno-, dwu-hektarowych – KOWR rzadko decyduje się na skorzystanie z prawa pierwokupu. Wtedy do akcji wkracza deweloper, który może na odrolnionej działce postawić szeregowce. Natomiast nie jest to znaczący problem, który wpływałby na ogólną strukturę polskiej wsi. Podobnie jak kwestie związane z nabywaniem naszej ziemi przez cudzoziemców, czym przez lata – szczególnie w okresie, gdy wchodziliśmy do Unii Europejskiej – straszono naszych rolników.

Dołączenie do UE to najlepsze, co mogło się przytrafić polskiemu rolnictwu?

Administracja państwowa musi zadbać o regulacje stabilizujące ceny. Z całą resztą rolnik sobie już poradzi. Nasi rolnicy potrafią liczyć pieniądze, inwestować i działać na bardzo dużych kwotach

GOSPODARKA

Jak większości gałęzi polskiej gospodarki, tak rolnictwu akcesja do UE przyniosła korzyści i straty. Sumarycznie jednak ocenilibym, że wyszliśmy na duży plus.

Ze względu na olbrzymie dotacje i otwarty rynek pozwalający w zeszłym roku dojść do sprzedaży żywności za granicę za 236 mld zł? Oczywiście to główne argumenty. Polscy rolnicy mogli unowocześnić sprzęt, wyspecjalizować się w wąskich dziedzinach produkcji i dziś sprzedają swój towar za prawie ćwierć biliona złotych rocznie, głównie na rynki unijne. Ostatnie 30 lat to też duża zmiana mentalna. Dwa pokolenia temu rolnicy produkowali w warunkach gospodarki nakazowo-rozdzielczej, mieli rozpisane plany wieloletnie, uprzednią kontraktację. Polska wieś – w kwestii świadomości ekonomicznej – przeszła olbrzymią transformację, którą niejako wymusił na niej minister Balcerowicz.

Jego reformy sprzed 30 lat do dziś wpływają na nasze rolnictwo? Największą szkodę rolnictwu wyrządziła transformacja ustrojowa. Na majątku państwowym, głównie na zakładach przetwórczych, uwłaszczył się kapitał zagraniczny lub prywatny. Polscy rolnicy, w większości przypadków, nie są dziś udziałowcami firm produkcyjnych czy przetwórczych. Można powtórzyć nieco wyświechtany slogan „wina Balcerowicza”, ale w przypadku rolnictwa jest w nim dużo racji. W myśl jego koncepcji każde państwowe przedsiębiorstwo rolne, które nie było dochodowe, było od razu wyprzedawane. Zabrakło cierpliwości, pomysłu na wyprowadzenie zacofanych zakładów na prostą. Przykładem może być grupa Sokołów skupiająca siedem największych zakładów przetwórstwa mięsnego w Polsce. Właścicielami są Duńczycy z Danish Crown. To oni dyktują ceny na rynku i warunki współpracy z polskimi dostawcami. Podobnie grupa Animex. Razem to 15 największych zakładów mięsnych w Polsce. Rodzime masarnie są zbyt małe, by odgrywać jakąkolwiek rolę na rynku. Podobnie w branży owocowo-warzywnej – mieliśmy swojego czempiona, firmę Hortex, która w ramach restrukturyzacji sprzedała 7 z 10 fabryk. Dziś zakłady w Siemiatyczach, Płońsku, Rykach, Leżajsku czy Górze Kalwarii są tylko wspomnieniem... Mówiąc wprost – przez transformację ustrojową kapitał i majątek polskiego rolnictwa, na który pracowało wiele pokoleń Polaków, został zdefraudowany i roztrwoniony.

W spadku po PRL dostaliśmy jednak świetnie funkcjonujący sektor mleczarski. Pełna zgoda. Branża mleczarska to doskonały przykład właściwego podejścia do rolniczej przedsiębiorczości. Jeszcze w czasach gospodarki centralnie planowanej powstały załączki spółdzielczości, która po transformacji dalej się rozwijała i obecnie działa bardzo prężnie. Jesteśmy światową potęgą w produkcji mleczarskiej. Każdy dostawca ma udziały w lokalnej spółdzielni, pracuje niejako na własną firmę, co wpływa na wyższą efektywność i opłacalność produkcji.

Dlaczego akurat w tej branży zawiązała się spółdzielczość, a w mięsnej, owocowo-warzywnej czy roślinnej nie? Produkcja mleczna wymaga ogromnego reżimu czasowego i punktualności – 40 lat temu brak zaawansowanej technologii do schładzania, przechowywania i transportu mleka

wymusił dużą koncentrację geograficzną zakładów przetwórczych. Za PRL w każdym mieście powiatowym funkcjonowała okręgowa spółdzielnia mleczarska, co dało początek całej sieci i położyło podwaliny do stworzenia tak prężnie działającego dziś sektora.

Czy polscy rolnicy mają długofalową strategię działalności produkcyjnej, czy raczej dostosowują ją do bieżącej koniunktury? W przypadku produkcji zwierzęcej trudno mówić o koniunkturalizmie, bo czas i nakłady finansowe niezbędne do rozwinięcia hodowli są zbyt wymagające. Jeśli rolnik decyduje się na hodowlę np. bydła mlecznego, to musi zainwestować w odpowiednią halę, wolnostanowiskowe boksy, dojarki i inne maszyny przeznaczone tylko dla bydła. Nie da się po roku sprzedać krów, a w ich miejsce kupić owiec czy świń, bo zmiana profilu produkcji wymagałaby całkowitej transformacji infrastruktury i urzędzeń. Oczywiście w horyzoncie całego życia rolnika możliwe, i czasem nawet potrzebne, są zmiany, by dostosować produkcję do rynku, ale taki zwrot może zachodzić co kilkanaście lat. Inaczej wygląda sytuacja z produkcją roślinną, która jest bardziej elastyczna. Jeśli rolnik ma glebę wysokiej klasy, to może co roku żonglować uprawą – raz pszenica, raz kukurydza, raz rzepak, w zależności, na co akurat jest największy popyt. Można próbować co roku złapać koniunkturę, aczkolwiek to broń obosieczna: jeśli akurat jest popyt na ziemniaki, to zwiększona podaż szybko sprowadzi jego ceny w dół.

„Świńska górka”, tyle że ziemniaczana? Tego typu pogoń za koniunkturą jest słusznym podejściem? Szukanie szybkiego zarobku jest normalne. Nie uważam jednak, żeby to była pożądana metoda zarządzania. Jestem orędownikiem przemysłowego, długofalowego rolnictwa z wieloletnią strategią ustaloną na poziomie pojedynczego rolnika, grup spółdzielczych i całej administracji, z Ministerstwem Rolnictwa włącznie. Podam przykład z branży cukrowniczej – zasiewy i wielkość produkcji buraka cukrowego są z góry zaplanowane, a skup buraka kontraktowany z wyprzedzeniem. Dzięki temu nie ma drastycznych wahań koniunkturalnych, cena jest w miarę stabilna. My tymczasem wciąż odbijamy się od ściany do ściany – z jednej strony mówimy o tym, że trzeba stawiać na duże lub bardzo duże gospodarstwa, że powinna następować konsolidacja produkcji, a z drugiej – co roku wspieramy małe gospodarstwa miliardowymi dotacjami. Tylko w tym roku resort rolnictwa przeznaczył 1 mld zł dopłat dla producentów kukurydzy czy 1 mld zł na pomoc kłęskową. W ciągu ostatniego 1,5 roku ministerstwo wypłaciło takich pomocy ok. 15 mld zł.

To są zmarnowane pieniądze? To są pieniądze, za które można by uruchomić kilka dużych, prężnych zakładów przetwórczych. Nie zostały właściwie zainwestowane, nie przyniosły żadnego zysku, a jedynie pozwoliły utrzymać się na powierzchni najbardziej nierentownym gospodarstwom, którym za rok, za dwa lata i za pięć lat znów trzeba będzie pomagać finansowo.

Rolnictwo może być dochodowe i nie wymagać żadnych dotacji? W obecnej sytuacji – nie. W Europie doszliśmy do sufitu, jeśli chodzi o koszty związane z ekologią – mamy bardzo wysoki poziom uprzemysłowienia

produkcji rolnej, technologicznie wymagające dużej ilości środków produkcji, w tym wody. Jesteśmy częścią globalnych zależności handlowych i zawsze znajdzie się kraj, który będzie mógł wyprodukować coś taniej. Większość gleb w Polsce, ok. 60 proc., to gleby słabe, klasy IV lub V. Ukraina ma doskonałe czarnoziemy, więc już na starcie ma ogromną przewagę. Dodatkowo – podobnie jak chociażby Rosja – ma o wiele tańsze nośniki energii, niższe ceny nawozów (złoża fosforytów i soli potasowej) i koszty pracy, a także ogromne kombinaty rolnicze, które biorą premię za efekt skali.

To może pozwólmy tym krajom produkować tańszą żywność, a oszczędzone środki przeznaczymy na rozwój innych gałęzi gospodarki? Wtedy będziemy w pełni zależni od innych. To byłby błąd, ogromny błąd. Po pierwsze, tańsza produkcja w znacznej mierze niesie za sobą gorszą jakość żywności. Pytanie, czy wolimy jeść pewne, wysokiej jakości towary i płacić za nie więcej – czy to przy kasie w sklepie, czy pośrednio przez dopłaty, czy jednak płacić mniej, ale być narażonym na nieznaną substancję? Oczywiście importowana na rynek unijny żywność musi mieć odpowiednie certyfikaty jakości, ale nie wiemy, jak organizm każdego konsumenta zareaguje na produkty z nadmierną zawartością azotanów, które mogą powodować chociażby nowotwór układu pokarmowego. W ostatnich latach liczba osób zapadających na choroby cywilizacyjne w krajach rozwiniętych znacząco rośnie, co jest związane z nieodpowiednim trybem życia, w tym ze złymi nawykami żywieniowymi. Po drugie, wchodząc w taką zależność od innych krajów, znacząco osłabiłbyśmy nasze bezpieczeństwo żywnościowe. Strategiczna rola rolnictwa dla gospodarki nie opiera się na wskaźnikach ekonomicznych – bo rolnictwo w Polsce to nieco ponad 2 proc. PKB – ale na poprawie pozycji w geopolitycznych układach. Każdy kraj jest tak silny, jak silne jest jego rolnictwo, które zabezpiecza naród przed głodem.

Luksemburg, Norwegia, Księstwo Monako, Islandia, kraje Zatoki Perskiej... One wszystkie są żywnościowo uzależnione od innych krajów, ale ich mieszkańcy raczej głodni nie chodzą.

Każdy z tych przypadków należy rozpatrywać oddzielnie, mają różne uwarunkowania społeczne i geograficzne. Luksemburg i Monako to kraje absolutnie bezpieczne, otoczone z każdej strony sojusznikami. Norwegia, nie dość, że jest zasobna w gaz i ropę, to ma świetnie rozwinięty sektor rybołówstwa, podobnie jak Islandia. Kraje Zatoki Perskiej są obrzydliwie bogate, ale i one już wiedzą, że ropa może się skończyć, i szukają innych gałęzi gospodarki do utrzymania bogactwa – inwestują w turystykę, nieruchomości, finanse. Tak, by zabezpieczyć finansowo przyszłe pokolenia i zawsze móc pozwolić sobie na płacenie, czy wręcz przepłacanie za żywność. Jednocześnie mogą podać przykład Szwajcarii, równie bogatego kraju, który bardzo mocno rozwija swój sektor rolniczy, by być w pełni niezależnym. W połowie XIX w. Irlandię nawiedziła zaraza ziemniaczana, która spowodowała śmierć 1,5 mln obywateli, a kolejny milion wypędziła na emigrację. Dziś problem głodu dotyka chociażby Afrykę – poszczególne kraje nie są w stanie wyprodukować wystarczającej ilości pożywienia, są skazane na drogi import

lub pomoc humanitarną. A głodny pracownik czy przedsiębiorca nic nie wyprodukuje. Polska to duży, 38-milionowy kraj, ale bez pokaźnych zasobów naturalnych. I niestety nie zanoszą się, żebyśmy w nie-dalekiej przyszłości stali się narodem obrzydliwie bogatym...

Jakie wyzwania społeczne widzi pan dla polskiej wsi na kolejną dekadę? Trzeba zadbać o najmłodsze pokolenie, by nie chciało opuszczać wsi. Widać duży postęp, bo warunki do życia na obszarach wiejskich są na coraz wyższym poziomie, różnice względem miast już się zacierają – powstaje znakomita infrastruktura sportowa, edukacyjna czy kulturalna. Również warunki pracy na gospodarstwie są atrakcyjne – młodzi mogą korzystać z nowoczesnego sprzętu, wprowadzać nowinki technologiczne, rozwijać rolnictwo precyzyjne. To już nie jest czas, gdy orało się koniem i plugiem... Uważam, że perspektywy są pozytywne. Trzeba jednak dalej rozwijać i wspierać małe społeczności, lokalne inicjatywy, propagować ideę małych ojczyzn.

A wyzwania ekonomiczne? Musimy wdrażać mądrą, przemyślaną i funkcjonalną politykę rolną, zarówno na poziomie UE, jak i Polski. Jeśli chcemy zadbać o klimat i mieć czyste rolnictwo, to musimy zaakceptować to, że produkcja żywności musi być dotowana. Ale trzeba to robić w sposób przemyślany – ja prowadzę gospodarstwo hobbystycznie, nie produkuję na rynek i oficjalnie mówię, że tego typu rolników dotacje obejmować nie powinny. Nacisk powinien być położony na gospodarstwa zajmujące się produkcją towarową, bez względu na ich powierzchnię. Natomiast część mniejszych gospodarstw powinno szukać swoich nisz i wąskich specjalizacji, w tym w rolnictwie ekologicznym. Administracja państwowa musi też zadbać o regulacje stabilizujące ceny. Z całą resztą rolnik sobie już poradzi. Nasi rolnicy potrafią liczyć pieniądze, inwestować i działać na bardzo dużych kwotach. Polskie rolnictwo jest jednym z najmocniejszych w Europie, odradza się bardzo szybko po przemianach społecznych i gospodarczych. Jeszcze 30 lat temu byliśmy zacofani, nie byliśmy żadną konkurencją dla rolnictwa niemieckiego, duńskiego, francuskiego czy włoskiego. Dziś gramy w tej samej lidze, a wręcz – i mówię to z pełną odpowiedzialnością – wyprzedziliśmy je. Polscy rolnicy nie osiągnęli jeszcze tego pułapu zamożności jak ich koledzy z krajów zachodnich, nie są nasytzeni, dzięki czemu są bardziej pracowici. Jesteśmy potentatem w produkcji ziemniaków, pszenicy czy chociażby pieczarek. Przemysł drobiarski jest jednym z największych w Europie, a nawet na świecie. Podobnie przemysł mleczarski i sadownictwo. Proszę pokazać mi inną gałąź gospodarki, w której bylibyśmy na światowym toppie w kilku sektorach. Szanujmy więc wkład polskiego rolnika i doceniajmy jego wkład w cywilizacyjny rozwój Polski.

©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marek

Gugala

prof. dr hab. nauk rolniczych, Uniwersytet w Siedlcach (d. Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach)